Ner 23. Kraków, 10go Czerwca. 1861.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

NIEWIASTA.

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie,** Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

✝

W dniu 29 maja b. r. zmarł w Paryżu

JOACHIM LELEWEL.

D. 10 bm. odbędzie się w Krakowie w kościele N. M. Panny

ŻAŁOBNE NABOŻEŃSTWO

za Jego duszę

Różne stopnie poświęcenia,

przez

Karola Dra Libelta,

Autora „Dziewicy Orleańskiej“ i wielu innych znakomitych dzieł.

(Ciąg dalszy).

IV.

W sposobie mówienia *poświęcić się dla kogo lub dla czegoś,* uważaliśmy drugi i to wyższy stopień poświęcenia, a dla tego uważamy go za wyższy, że poświęcić się czemu lub komu było powinnością, że nie powiem koniecznością, przez konieczny stosunek człowieka do innych ludzi i do Boga; zaś w poświęceniu się dla kogoś lub dla czegoś, uważać będziemy cnotę, mniej więcej z dobrowolnego postanowienia wypływającą. Tam wyższej istocie lub wyższemu boskiemu celowi oddawałem całą moją istotą w ofierze; tu waruję sobie niezależność istoty mojej i poświęcam siebie dobrowolnie, już częściowo, już chwilowo, dla osoby lub rzeczy jakiej. Z takiego odznaczenia tego drugiego rodzaju poświęcenia podają się zaraz dalsze dwa wnioski, i naprzód: że osoba lub rzecz dla której się poświęcam jest tu zupełnie obojętna, może zatem być warta lub nie warta takiego poświęcenia; powtóre: że musi koniecznie między osobą poświęcającą się a przedmiotem tego poświęcenia, zachodzić pewien uczuciowy stósunek, który przenosząc się na przedmiot rodzi poświęcenie się dla niego. Ponieważ stoimy na polu dobrej woli, którą uczucia kierują, mogą takowe być szlachetne i nieszlachetne. Poświęcić się mogę dla ojczyzny z chęci wyniesienia się; dla majątku z chciwości, dla osoby z namiętności. Wszakże gdy poświęcenie i na tem stanowisku nie przestaje być świeceniem światła Bożego przez nas, i zatrzymuje charakter świętości, to też nieszlachetnym pobudkom, z których płyną prace i usługi nasze, nie możemy przypisywać poświęcenia. Ono tylko tam zachodzić może, gdzie pobudki są czyste i uczucia szlachetne. Wiara, miłość i cześć stają na czele jednych i drugich. Przedmiot, dla którego się poświęcam, powinienem ukochać albo wiarą, albo miłością, alboli czcią, aby poświęcenie się moje zasługiwało na to miano. Gdy się chcę oddać sprawie jakiej, czy to religijnej, czy politycznej, czy spółecznej, muszę mieć wiarę w jej świętość, w jej uprawnienie, w jej dobro, a przez tę wiarę umiłowawszy ją poświęcam się dla niej; muszę mieć cześć dla zasług męża, dla jego wielkiego uzdolnienia i wielkiego serca, a przez tę cześć zamiłować nietylko jego osobę ale i sprawę, którą zastępuje, aby się dla niego poświęcić; — trzeba rodzicielskiej miłości, aby się rodzice dla dzieci poświęcali; trzeba miłości ojczyzny, aby się dla niej w chwilach danych poświęcić. Gdy poświęcenie się jest zaprzaniem się siebie samego, zrzeczeniem się własnych widoków i korzyści, trzeba w ogóle zawsze wyższego celu, aby taka abnegacya nastąpić mogła. Gdzie cel jest niski i nie wart poświęcenia, tam i w uczuciu nim kierującem niema szlachetnych pobudek. Niewiasta, jako słabsza z natury od mężczyzny, jako więcej do biernego niżeli do czynnego usposobiona stanowiska, a do tego jako istota wskróś uczuciowa, w której dla tego owe trzy czynniki poświęcenia: wiara, miłość i cześć do wysokiej podnieść się mogą potęgi, jest jakby z przyrodzenia i przeznaczenia swego istotą poświęcającą się. Całe jej życie jest nieustającem poświęceniem się, i niewiasta jest tem więcej poszanowania godna, tem więcej Bogu i ludziom miła, im więcej temu pięknemu i świętemu powołaniu swojemu odpowiada.

Kiedy syn, jak tylko już do nauki sposobny, z domu rodzicielskiego wypuszczon być musi, aby w szkołach publicznych wśród towarzyszów rówiennego wieku wczas

zaprawiał się do publicznego zawodu; ona już jako dziecię do ogniska rodzinnego więcej przylega, jakby pieszczotami i wesołą swobodą wynagrodzić rodzicom chciała to opróżnienie domu z braci swoich. Jako dziewica skromna i niewinna, w której łonie wszakże dotąd uśpione i nieznane przerzucają się już uczucia, z jakąż to bacznością na siebie, z jakiem poświęceniem wyrywających się popędów młodego wieku, przechodzić musi przez świat sideł i ułudy pełen, i stać na straży nieskażonego umysłu i serca, — kiedy młodzieniec w tej właśnie porze najwięcej używa swobody i wolności, jakoby chciał wyszumieć z krewkości wieku swego, i śmiało kroczy przez świat, którego mieni się panem w młodzieńczej swobodzie swojej.

A kiedy z dziewicy staje się oblubienicą, kiedy spotkało się serce z sercem, jakby przed wieki dla siebie przeznaczone, i rozgorzały wzajemną do siebie miłością, niema już miary poświęcenia się dla wybrańca najtkliwszych uczuć dziewiczych. Nieraz ona tę pierwszą miłość przypłaca szczęściem całego życia swojego; jeżeli albo pomyliła się w wyborze, albo jeżeli różne względy i intrygi skupiły się, aby rozerwać związek dwóch serc miłością dokonany; jeżeli jej walczyć trzeba między miłością a obowiązkiem, między miłością córki a miłością oblubienicy, — nad to wszystko wyższe jest jej poświęcenie się, i poświęca się ze stałością bohaterki lub męczennicy.

Również nieograniczone i wzniosłe jest poświęcenie się niewiasty jako matki dla dzieci, jako żony dla męża. Gdy idzie o ich dobro, może być pelikanem co krew własną z piersi dobywa i karmi nią pisklęta swoje; gdy idzie o ich osłonę od niebezpieczeństwa, może być lwicą stawającą w obronie swego płodu. Ale i w zwyczajnych stosunkach poczciwa żona i matka żyje tylko dla męża i dla dzieci swoich, nie zna i nie ma innego szczęścia nad nie i nad niego — a jednak i to szczęście jeszcze odstępuje dla kraju, dla ojczyzny, i tu występuje w poświęceniu swojem jako niewiasta obywatelka.

Zdawałoby się, sądząc po potędze uczuć jakiemi nabrzmiewa serce niewiasty, jako oblubienicy, jako żony i jako matki, że to serce już innych uczuć niezdolne, że tu kres jej poświęcenia się, bo jako powój opięła żywot swój około męża i dzieci swych. A jednak gdy ojczyzna w potrzebie, gdy woła synów swoich, odzywa się wtedy inne wyższe uczucie w niewieście, uczucie, które miłością ojczyzny nazywamy, a odzywa z taką siłą i potęgą, że się już tylko czuje córą ziemi, która ją zrodziła, córą kraju, który ją wychował, siostrą rodaków braci swoich, i co ma najdroższego tu na ziemi przynosi im w ofierze. Mężczyzna poświęcając się dla ojczyzny, niesie jej życie swoje, niewiasta poświęcając jej męża i synów, poświęca jej życie życia swego. W nich tylko żyła, bez nich już jej życie bez celu, bez szczęścia, bez swobody. A przecież z rezygnacyą poświęca się na to sieroctwo, i zniesie je z rezygnacyą dla kraju.

Ale i w społecznym świecie niewiasta jest ciągłego poświęcenia się wzorem. Pierś jej tkliwa i czuła na każde drgnienie boleści; każdy stęk cierpienia, każdy jęk nędzy, każdy utysk niedostatku do głębin serca jej przenika; łza żalu i niedoli, łzę udziału w jej oku wyciśnie. Do litości i niesienia pomocy skłonna, jest na ziemi przed innymi narzędziem opatrzności i miłosierdzia Bożego. Sama przewinieniem Ewy wskazana na bóle i cierpienia, jest aniołem opieki i pociechy dla tych, których niemoc lub kalectwo złożyło na łożu boleści. W daleko większej mierze łagodzi, poskramia i rozpędza niemoc i boleści ducha, rozbraja jego namiętności, leje balsam w straszliwe nieraz burze serca. A działa tu jakby magnetycznym sposobem. Jedno zawieszenie się u szyi ukochanej istoty, jeden gorący pocałunek, jedno słowo czułe, jedno spojrzenie rzewne wystarcza, a serce męża ściśnione gniewem, zemstą lub żalem, rozrzewnia się, koją się burze duszą jego miotające, fale troski, trudów i innych moralnych cierpień na czole zawisłe ustępują, i pogoda ducha na całem obliczu niedawno zasępionem poświeca. Niewiasta wstydliwością, jakby niebiańskim talizmanem duszy, co razem osłania i pokonywa, trzyma na wodzy żądze i namiętności, któreby bez tego cudownego hamulca, miary w rozpasaniu swojem nie miały. Gdziekolwiek w towarzystwie w pośród nas stawa, przynosi mu z wdziękami ciała i umysłu przyzwoitość, z wesołością dowcipu i humoru skromność, z miłą żywością i lekkością temperamentu powagę. Ona też ozdobą jest każdego towarzystwa; ona obyczajową potęgą narodu. Naród popada w niemoc, w moralną jak w fizyczną bezsilność, społeczność sama się rozkłada i gotuje sobie los Sodomy i Gomory, gdy te spoje obyczajowe, mądremi rządy Boga tak silnie u nieskażonych serc niewieścich uwiązane', przez skażenie tychże puszczać zaczynają, gdy niewiasta przestaje być aniołem stróżem obyczajowego życia narodu i przezwana słodyczą rodzaju ludzkiego, przestaje nią być tak w moralnym względzie; znika wtenczas uszlachetnienie społeczności, zdarta duchowa niebiańska szata, przez którą cielesności niedojrzeć było, a moralne obnażenie poświeca, Bogu i ludziom na zgrozę. — Otóż wielkie zadanie poświęcenia się niewiasty dla obyczajowego celu ludzkości! Na tem jej wzniosłem powołaniu, którego jeżeli kto wyraźnie nie poznaje, to je instynktowo przeczuwa, polega jej wyzwolenie przez religią nowego przymierza, polega cześć, którą wieki średnie ją otaczały, polega szacunek i korne uszanowanie, które i dziś jeszcze nawet wśród zepsucia, niewiasta nakazuje.

(Dok. n.)

MARYNA MNISZCHÓWNA.

(Dalszy ciąg).

XXI.

Przytaczane tu przez nas wypadki i koleje wojny Polski z Moskwą, wpływając bezpośrednio na dalszą dolę Maryny, w żaden sposób pominiętemi być nie mogły. Życie jej zawisło już teraz od życia i powodzenia sprawy Dymitrowej. Że zaś dokładne rozwinięcie obrazu tych wojen, które nam dużo szkody, a żadnych korzyści nie sprowadziły, wychodzi po za obręb naszego pisma co do obszerności swojej, ograniczyć się więc musimy na krótkim przebiegu wypadków po sobie następujących, bez których historyczne spomnienie o Marynie straciłoby na zwięzłej i do całości potrzebnej koniecznie jedności. Więc rzecz prowadzim dalej. Na czele licznego wojska z Szwedów, Wendów i Francuzów złożonego wchodzi Skopin do Moskwy, i pobliskie zabiera zamki. Zwycięztwa jego, oraz powodzenie w boju i sympatya, jaką pozyskał u wszystkich, robi go nienawistnym Szujskiemu, który obok siebie nie mógł znosić żadnej wyższości: ani talentów, ani zasługi. Szujski zazdroszcząc więc Skopinowi sławy i wzięcia, truje go, niewiedząc, iż pozbywając się tego, którego przez zazdrość znieść nie mógł obok siebie, pozbył się najlepszego swego przyjaciela i obrońcy.

Gąsiewski zajmował już wtedy Białą, przychylną królowi Zygmuntowi; tę car wojskiem oblega i zdobyć pragnie. Gąsiewski wysyła listy do króla o pomoc. Toż samo robią polskie pułki w tuszyńskim obozie zostające. Król wybiera Jana Potockiego i naznacza go na

posiłkowanie Polaków. Ten jednakże, niechcąc usunięciem się z przed oczów Zygmunta, pozbawić się jego fawórów, zwykłym sobie sposobem zwleka wyprawę swoję. Tymczasem nadchodzą od Zborowskiego i Gąsiewskiego coraz bardziej naglące listy o pomoc. Król widzi i poznaje niebezpieczeństwo w jakiem się Polacy znajdują — czuje się więc zmuszonym posłać im jakąś pomoc, i w tym celu udaje się do Żółkiewskiego. Dzielny ten bohater i wierny Polski obrońca, działający zawsze dla dobra Rzeczypospolitej, już kilkakrotnie był w ten sposób od króla poniewieranym, iż go tam wysyłano, gdzie inni wahali się wystąpić. Znosił jednakże tę poniewierkę dzielny wódz z poświęceniem, ojczyzny dobro nad wszelkie osobiste względy zawsze wyżej stawiając. „Wiedziałem, mówi w pamiętniku swoim, że zwłaszcza z tak małą garstką, idąc naprzeciw nieprzyjacielskim tłumom, na niechybne narażałem się niebezpieczeństwo; lecz wolałem sam się narazić, niż rzeczy powszechnej odstąpić, niż nakoniec znosząc zmartwienia i przekory dłużej pod Smoleńskiem leżeć bezczynnie.“ Idzie więc z nierównie słabszemi siły od Potockiego Żółkiewski na odsiecz Gąsiewskiemu, lecz ponieważ temu zręcznemu wodzowi szczęście sprzyjało, tak iż mu się udało odeprzeć nieprzyjaciela, przeto Żółkiewski udał się wprost na Szujskiego. Wtedy znowu niektóre pułki, mianowicie Zborowskiego, zaczęły się dopominać żołdu. Naprożno Żółkiewski wysyła na ich uspokojenie Herburta; słowa jego i obietnice lekceważąc, hardzi żołnierze nie chcą wcale słuchać rozkazów. Żółkiewski widząc ich nieprzełamany upór i krnąbrność, porzuca ich, i na czele wiernych sobie idzie pod Carowe Zawiszcze. Tu z wielkim tryumfem gromi nieprzyjaciela, tak dalece, iż owe pułki Zborowskiego, które go opuściły, zazdroszczą swym towarzyszom, że z niemi chlubnego nie dzielili zwycięztwa. Zawstydzony Zborowski łączy się nareszcie z Żółkiewskim posuwającym się do Mozajska, przestając już na samej obietnicy wodza, co do pieniędzy, mających nadejść od króla. Swietne zwycięztwo nad Wołkowem zmusza tego wodza do wezwania pomocy od Szujskiego. Szujski puszcza się do Kluzyna, wiodąc ze sobą Francuzów, Szkotów, Niemców, i łączy się z Wołkowem. Sławna bitwa pod Kluzynem, małego oddziału Polaków przeciw 48,000 Moskali i sprzymierzeńców, okrywa chwałą zwycięztwa Żółkiewskiego, któremu, gdy się po tej bitwie pod Carowe Zawiszcze zwrócił, Wołkow o pogromie swoich przekonany, poddaje się z całym oddziałem wojska. Skutki tego wielkiego zwycięztwa pod Kluzynem, stawały się wkrótce coraz pomyślniejszemi: Zamki: Osipów, Mozajsk, Rzów, Zobków, Carowo, poddają się po kolei Żółkiewskiemu. Ten zaś gienialny hetman nietylko zwyciężając, ale co ważniejszą jest rzeczą, umiejąc korzystać ze zwycięztwa, zdąża pod samę stolicę. Natychmiast w Moskwie zaczęły krążyć listy wzywające bojarów do pozbycia się raz, narzucanych i narzucających się carów, a to przez przyjęcie i uznanie królewicza Władysława. Pisma te wywierają skuteczny wpływ na bojarów. Z licznym tumultem udają się do mieszkania carskiego żądając złożenia berła. Rubasznemi odpowiedzi przyjmując jego surowe napomnienia, wypowiadają mu posłuszeństwo, i wprost udają się na *lubne* *) miejsce, i głoszą ludowi zepchnięcie Szujskiego z tronu. Tymczasem Żółkiewski zbliżał się ku stolicy i 3go sierpnia stanął pod jej murami. Równocześnie z nim zdążał także Samozwaniec do Moskwy. Bojarowie, dowiedziawszy się o podstąpieniu Żółkiewskiego, zapytują się go przez posłów, czy do nich przybywa jako przyjaciel, czy jako nieprzyjaciel. Żółkiewski odpowiada, iż przybył bronić ich praw i bezpieczeństwa, i utwierdzić obiór Władysława carem. Wtedy wysyłają do niego posłów na rokowanie, i podają mu pakta do podpisania, zawierające warunki pod jakiemi przyzwolą na obiór carem Władysława. Żółkiewski, który już przedtem kilkakrotnie pisał był do króla z zapytaniem co ma robić, w chwili stanowczej umowy o carstwo jego syna, ale *ani słowa* nie otrzymał odpowiedzi, był znowu w wielkim kłopocie, nie wiedząc co na te pakta odpowiedzieć. Najbardziej chodziło mu o punkt wymagający po Władysławie przejścia na wiarę grecką dyzunicką, wiedział bowiem, iż Zygmunt synowi swemu na to nie będzie chciał pozwolić. Gdy jednakże sprawa ta dłuższej już zwłoki ścierpieć nie mogła, gdy bojarowie niecierpliwi, uporczywie naglili go do przysięgi, i gdy prócz tego niespokojne pułki, grożące bardzo złemi następnościami, ustawicznie domagały się żołdu, widział Żółkiewski konieczną potrzebę zakończenia już tej, tak długo zwlekanej sprawy, i nie czekając na odpowiedź Zygmunta, po którą znowu był wysłał niedawno, podpisał sam pakta, a tem samem zatwierdził Władysława królewicza na tronie moskiewskim. Między licznemi punktami tych paktów napotykamy dwa, z naszem opowiadaniem ścisły związek mające, bo odnoszące się do Dymitra oszusta i jego żony Maryny. I tak ku końcu paktów czytamy: „Samozwaniec przybierający imie Dymitra, syna cara Iwana, łącznie przez wojska Żółkiewskiego i moskiewskie walczonym być ma, i żywcem lub zabity pojmanym. Po schwytaniu zaś onego lub zabiciu, hetman Żółkiewski odprowadzi swe wojsko do Mozajska, lub w inne miejsce, jak się z bojarami ułoży, i tam na daną odpowiedź od króla oczekiwać ma. Nie mniej wszelkiego dołoży starania, by Jana Sapiehę od Samozwańca odwieść, i wojsko jego z królewskiem pogodzić i złączyć. Maryna córka wojewody sandomierskiego, żona zabitego *Apostaty*, która i do dzisiejszego Samozwańca przystała, i tytuł carowej przywłaszcza, by dalej nie zaburzała państwa, do Polski odprowadzoną zostanie.“

Wyraz ten *apostata* nie sprzeciwia się wierze bojarów w prawdziwość pochodzenia Dymitra Igo. Zwą go zaś dla tego apostatą, tj. odstępcą, bo on rzeczywiście nieumiarkowaniem i nieoględnością swoją, odstąpił od obyczajów krajowych, co mu też właśnie stało się najistotniejszą przyczyną zguby.

Po podpisaniu paktów, śród największej uroczystości ogłoszono Władysława carem. Wtedy przybywa poseł od króla Fiedko Andronowicz z listem, w którym Zygmunt poleca Żółkiewskiemu, aby tron moskiewski już nie dla Władysława, ale dla niego samego wyjednał! I nie byłoż to prawdziwą igraszką walk i poświęcenia się tych wszystkich, którzy dotąd nie szczędzili krwi na popieranie Władysława na tron moskiewski? Za pierwszym posłem przybywa do Żółkiewskiego od króla Gąsiewski z objaśnieniem zmiany dawnych planów, i z ostatniem postanowieniem Zygmunta, zawładnięcia berłem moskiewskiem. Wielkie te poselstwa zrobiły wrażenia na Żółkiewskim; wódz ten, najstalszego charakteru, najstalszy też dla tego we wszystkich swych przedsięwzięciach, nie mógł prawie pojąć tej niestałości i chwiejności Zygmunta, z jaką najważniejsze sprawy traktował. Targnięcie się to króla po berło carskie właśnie wtedy, gdy ono już jego synowi przez cały naród było przyznanem, trudnem było dla Żółkiewskiego do wytłómaczenia, ciskało ono bowiem dziwne bardzo światło na postępki Zygmunta, i dziwniejszą jeszcze jego politykę. Nie wiedząc zaś, co w takim razie ma robić, Żółkiewski przewidujący, iż ogłoszeniem nowych zamiarów swego króla, popsułby całą sprawę, postanowił je zataić, i da-

*) Gdzie się lud zgromadza.

lej zaczęte dzieło prowadzić. Wierny przysiędze paktów zaczął odrazu odciągać Sapiehę od Samozwańca. Sapieha, który jakeśmy wyżej powiedzieli, nie przez przychylność do Dymitra, w obozie jego pozostawał, ale aby Szujskiego być bliżej, widząc zmiany losów i zwycięztwa Żółkiewskiego, chętnieby rady tego wodza usłuchał, gdyby nie wojsko, nie dające sobie ani mówić, żeby bez żołdu z królewskiemi się łączyć miało. Dymitr zaś upomnieniem Żółkiewskiego i obietnicą pewnych łask u króla gardził zupełnie, ale nie tyle on sam, ile jego nieszczęsna żona. Gdy bowiem doszły go listy Żółkiewskiego, był wtedy u żony w monasterze Nowe hroszy zwanym, o dwie mile od obozu Sapiehy. Odebrawszy propozycye hetmana zawołał: *Wolę służyć u chłopa, niż z rąk króla jmci chleba patrzyć.* Byłby się jednakże może i nakłonił, gdyby nie Maryna, która dowiedziawszy się o tem, wpadła do komnaty, i zuchwale powstając na króla wyrzekła: *I ja też z mojej strony uczynię propozycye: niech też król jmć ustąpi carowi jmci Krakowa, a car jmć da za to królowi Warszawę.*“ Temi słowy cisnęła na siebie wieczną hańbę odstępstwa od narodowości swojej, i stała się niegodną nazwiska Polki i kobiety. Nie przestając na jednorazowem upomnieniu, ponowił je Żółkiewski tak do Sapiehy, jako i do oszusta. Z Sapiehą, przeciw któremu orężnie wystąpił, udało mu się nareszcie zgodzić i nakłonić go do namawiania Samozwańca. „Próżnemi atoli i tą razą były namowy; Samozwaniec a bardziej jeszcze Maryna do żadnej ugody przystąpić nie chcieli. Umyślił więc Żółkiewski napaść w nocy na monaster, w którym się schronili i schwytać oboje; już blisko był miejsca, gdy przestrzeżeni od zbiega, fałszywy Dymitr i Maryna dopadłszy koni, z Zaruckim i nieco kozaków, powtórnie do Kaługi uszli. Nie chciał hetman goniąc za niemi, zbyt się od stolicy oddalać, gdzie nader ważne sprawy wymagały obecności jego.“ Tam bowiem chodziło mu o Szujskich, których mu też nareszcie wydano. Wtedy też bito złotą i srebrną monetę pod wizerunkiem Władysława, i z wielką uroczystością ogłaszano elekcyą królewicza polskiego carem. Uspokojeni i ucieszeni bojarowie ślą poselstwo do Zygmunta z zapytaniem rychło im przyśle syna. Zygmunt, który już żyć nie mógł, bez zwlekania odpowiedzi, choć w najważniejszej sprawie, ociągał się równie i tym razem. Trudno przypuścić, aby nie wiedział, ile taka zwłoka szkodzić będzie wszystkim usiłowaniom jego wodzów i wojska, w Moskwie walczących, i dla tego też nie można uniewinniać go z błędów, których się tak lekkomyślnie dopuszczał. Zrażeni dziwnem postępowaniem króla bojarowie, byliby już może zaniechali swoich planów i wyrzekli się Władysława, gdyby nie mądre i baczne odezwy Żółkiewskiego, który poprawiając błędy swego króla, łagodził umysły Moskali. Jemu też winien król znowu na czas jakiś uzyskane zawieszenie wymagań posłów moskiewskich. Aby tem, pewniej utwierdzić w prawach do tronu królewicza wchodzi do Moskwy pod pozorem zimowego leża, wprowadzając ze sobą wojsko. Sapieżyńców, których z krnąbrności i nieposłuszeństwa znał dobrze, wysyła do ziemi siewierskiej, i jeszcze raz ponawia namowy Dymitra, obiecując mu łaskę i wynagrodzenie króla. Lecz jak wprzódy tak i teraz Maryna wszystkie jego plany niweczy. W Moskwie za to łagodnością swego charakteru i słodyczą w obejściu z każdym, zniewala sobie Żółkiewski wszystkich, tak dalece nad wszystkiemi mając władzę, iż niespokojnych i burzliwych strzelców w karności utrzymuje, dając im za naczelnego wodza Gąsiewskiego. Tak więc ten, który nie był królem, robił daleko więcej od tego, któremu z tytułu i prawa to wszystko robić przynależało.

XXII.

Lecz na cóż się przydały owe sławne i szczęśliwe zabiegi Żółkiewskiego, jakiemi Władysławowi torował drogę do tronu moskiewskiego, kiedy te całe mozolnych trudów owoce, Zygmunta lekkomyślność udaremniła? Bolesna to nagroda, a boleśniejsze jeszcze przekonanie o niewdzięczności monarchy. Zygmunt III bowiem powodujący się jak zwykle radami swych ulubieńców, słuchał wszystkiego, co oni tylko za dobre uznali. Najbliższemi zaś kalimachami króla byli wówczas Potoccy. Ci przez zazdrość sławy, jaka za zbyt jasno na ich dumne oczy świeciła w skroni Żółkiewskiego, przedstawiali królowi, bojąc się, aby zasługi hetmana ich faworów nie osłabiły, że niepodobieństwem jest narażać młodego królewicza na istotną śmierć i zgubę, wysyłając go jeszcze w tak młodym wieku na tron, słynny rozlewem krwi i mordami. Łatwo przekonany Zygmunt słowami swych zauszników, nieumiejąc widać jednostronnemu zdaniu, przeciwstawić nic na korzyść drugiego, wzbrania się wysłać Władysława do Moskwy. Nic już wtedy nie znaczyły refleksye Sapiehy i innych znakomitych mężów, którzy szczególniej zwracali uwagę króla na zaprzysiężenie paktów przez Żółkiewskiego; Zygmunt już nikogo niesłuchał, trwając w swym uporze stale, odłożenia tej sprawy na później, albo też zaniechania jej zupełnie. Pisze naprzykład w liście do Rudnickiego biskupa warmińskiego, żeby mu radę jaką podał, co w tak trudnem położeniu ma robić; wyraża dalej swoję obawę przed Dymitrem fałszywym, który może mieć dosyć Dońców, Tatarów i Moskali na zawołanie, a z którymby Władysław będąc carem, musiał mieć wiele do czynienia. Miarkując o tem wszystkiem Żółkiewski, i złe skutki z tej długiej zwłoki króla przewidując, postanawia udać się sam do obozu pod Smoleńsk w nadziei przekonania Zygmunta, o potrzebie najspieszniejszego wysłania królewicza do Moskwy. Szanujący wysoko powagę i charakter Żółkiewskiego bojarowie, nie chcieli go puścić odsiebie, obawiając się, aby w jego nieobecności, wojsko na nowo nie wzburzyło się. Gdy jednakże Żółkiewski ich przekonał, że koniecznie potrzebną jest jego obecność pod Smoleńskiem że Gąsiewski, któremu on całą władzę zostawi w ręku po sobie, zdoła utrzymać wojsko w karności i posłuszeństwie, z wielką uroczystością pożegnawszy walecznego hetmana, wyprowadzili go aż za miasto. Wiózł ze sobą Żółkiewski Bazylego Szujskiego detronizowanego cara i dwóch jego braci, w niewolę wziętych do króla; a gdy się już zbliżał pod Smoleńsk, wyjechało na jego przywitanie z obozu rycerstwo, a Sapieha witał go w imieniu króla. Uroczyście odbyło się następnie stawienie carów przez Żółkiewskiego przed królem, po czem, pozostawszy hetman sam na sam z Zygmuntem, przedstawił mu całą sprawę ze wszystkiemi szczegółami. Chwalił Zygmunt waleczność i zasługi Żółkiewskiego, ale gdy przyszła rozmowa na wysłanie Władysława do Moskwy, okazał wyraźne niezadowolnienie, i objawił w tej mierze swoję obawę, że młody królewicz nie zdoła w tak burzliwem i pełnem stronnictw państwie bezpiecznie utrzymać się na tronie. Można sobie łatwo wyobrazić, jak bolesną była dla Żółkiewskiego ta rozmowa z królem; najpokorniejsze bowiem serce boli widok zniweczonych zasług i trudów. Gorszym jednakże skutkiem tej rozmowy, były zaburzenia Moskali, którzy widzieli już jawnie, iż Zygmunt wzbrania się wysłać im Władysława, któremu już na wierność przysięgli. Wnet wieść ta rozeszła się po Moskwie, wnet rozjątrzone umysły zaczęły się niepokoić; tajone zdrady wychodziły na jaw; lecz nadewszystko,

przyczyniła się de dalszych i większych niespokojności, nagła śmierć Dymitra oszusta.

XXIII.

Samozwaniec przebywał dotąd w Kałudze, i w pomoc małej garstki Tatarów i Kozaków, oraz kilku wiernych sobie bojarów ufając, przemyśliwał jeszcze o odzyskaniu tronu. Rzecz pewna, iż tylokrotnie będąc już zawiedzionym w swych nadziejach, byłby był Samozwaniec niezawodnie zaprzestał trudnych i niepodobnych do wykonania przedsiewzięć, gdyby nie dumna jego żona, i jej przyjaciel Zarucki, którzy ciągle wmawiali w niego prawo do tronu i nadzieję w lepsze powodzenie sprawy. Wojsko polskie czuwając nad ruchami Samozwańca, pod dowództwem Czaplica, znajdowało się w bliskości Kaługi, tamując ruchy nieprzyjacielskie ciągłemi podjazdami. Zdarzyło się, iż Tatarzy wpadli niespodzianie na nich, i po dość silnej utarczce kilku z naszych wzięli w niewolę. To małe zwycięztwo wielką napełniło radością zwątpiałe już serce oszusta. „Uradowany niem nad miarę, wspaniałą wydaje ucztę; po tej obwieszcza łowy, miodem i winem potężne sanie ładować każe, i wyjechawszy w pole, na zamieciónej między sosnami równinie znów rozpoczyna gody!“ Bawiąc się i hulając i pijąc, nie przeczuwał wcale tego, co po nad jego głową wisiało. Czychała oto na niego pomsta człowieka, którego był jeszcze dawniej skrzywdził.

Człowiekiem tym był Tatarzyn Urussów, nie oddawna ochrzczony na grecką wiarę, który później pojął był wdowę po Aleksandrze Szujskim *), a który niegdyś był wielkim ulubieńcem Samozwańca... Zemsta jego sięgała czasu, w którym zapalczywy i uniesiony Dymitr, bez żadnej winy, kijem go uderzył i do więzienia wtrącił. Przywróconym był wprawdzie Urussów do łaski fałszywego cara, ale raz zapalona chęć zemsty w jego sercu nie wygasła wprzódy, dopóki nasyconą nie była. Owóż teraz właśnie, gdy pijany szałem niespodziewanego szczęścia, udany car bankietuje, Urussów postanawia swojej zemsty dokonać. Zmawia zagniewanych równie na Dymitra, Tatarów za to że im ich carzyka był zabił, i śród hucznej biesiady, pod samo stanowisko oszusta się podsuwa. „A gdy Samozwaniec dużemi roztruchanami spełnia miody i wino, gdy zachmielony traci wszelką przytomność, z pistoletem z tyłu przypada Urussów, strzela, rani, ucina mu głowę, inni Tatarzy ciało na ćwierci sieką, głowę kładą w sakwy i do Moskwy uwożą.“ Wtedy też i bojarowie, widząc okropne morderstwo, ratują się w ucieczce, i w krótkim czasie wszyscy przyjaciele oszusta, bezpieczeństwa dla siebie tylko szukają. Nikt tam z nich nie myślał mścić się śmierci swojego mniemanego cara.

Niewiadomym był ród i początek tego Dymitra. Niemcewicz powiada o nim, iż był „nikczemny w obyczajach, podły w skłonnościach, okrutny, chytry, rozpasany na wszystko co niecne.“ Ustrjałów rosyjski historyk w dziele swem pod tytułem: „Historya smutnej epoki“ **) nazywa go nawet żydem, w czem i Niemcewicz zgadza się z nim, mówiąc, iż w komnacie jego znaleziono ukryty talmud, biblią i guzy rzemienne do modlitwy.

Gdy się o tym wypadku dumna Maryna dowiedziała, nie tak jej żal było męża, którego wcale nie kochała, jak tego pośrednictwa do tronu, które jej, jego skraskradzione imie nastręczało. Widząc więc wszystkie swoje nadzieje zniweczone, i znając dobrze burzliwość rozpasanego żołdactwa, chwyta się ostatecznego środka, klamie żal po stracie Dymitra przed temi, o których wiedziała, że jemu sprzyjali, i od rozsiekanych zwłok jego, które oglądać pobiegła, nocą powraca do Kaługi śród zgiełku i tumultu, z pochodnią w ręku, z rozczochranemi włosami, z obnażonem łonem, śród hufców żołnierzy wołając o pomstę przeraźliwym krzykiem. Na jej nieszczęście, nie było między wojskiem jej przyjaciela Zaruckiego, ten by jeden ujął się niezawodnie za nią. Wprawdzie ten wódz kozacki, dowiedziawszy się o zabiciu Dymitra zebrał 1500 Kozaków, i stanął w obronie carowej i jej syna prawego następcy, pierwszego Dymitra, ale wtedy było już późno, bo Moskale nieprzyjacielscy zabitemu Dymitrowi, porwali ją śród drogi, i odarłszy ze wszystkiego wtrącili do więzienia. Gdy Sapieha oblegał Kaługę, wtedy Maryna napisała do niego z więzienia te słowa: „Wyzwólcie dla Boga! wyzwólcie; dwie niedzieli nam tylko zostawionych do życia; pełniście sławy, nabądźcie więcej, wybawiając nieszczęsną. Bóg będzie wiekuistą zapłatą.“

Maryna.

Gdyby nie pakta i gdyby nie bojarowie właśnie oczekujący przybycia Władysława, pewnoby Sapieha, przychylny zawsze Marynie, ratował „nieszczęsną,“ jak się sama nazywała — lecz skrępowany temi stosunkami, musiał pozwolić Moskalom, aby postąpili z Maryną podług rozkazów z Moskwy nadejść mających.

XXIV.

Pozbywszy się w ten sposób nie tak niebezpiecznego, jak dokuczliwego nieprzyjaciela, Moskale uwolnili się od obowiązku trzymania z królem Zygmuntem, czego się tylko jako środka przeciw Dymitrowi działającego imali. Jedni z nich przeto jawnie, inni skrycie wypowiadają Zygmuntowi posłuszeństwo, nie tając, iż jego obrona mniej potrzebną już stała się teraz dla nich. Przyczyniał się do tego niezawodnie najwięcej sam Zygmunt, tak opieszale i lekkomyślnie tracąc krwią polską okupione korzyści. Zamiast bowiem wysłać Władysława, ku czemu go już nawet i Andrzej Bobola, Jezuita, namawiał, zamiast z silnym jeszcze oddziałem wojska, jakie mógł zebrać, iść najprędzej ku stolicy Moskwy, on uporczywie oblegał Smoleńsk, do którego zdobycia przeszkadzały tajemne porozumiewania się Sekina, dowódzcy załogi twierdzy z Moskalami, sprzyjającemi niby Zygmuntowi. Odkryta wprawdzie zdrada, prócz uwięzienia posłów moskiewskich, żadnych jednakże oblegającym nie zjednała korzyści. Ale przeciwnie: uwięzienie to, będące pogwałceniem praw narodów, stało się przyczyną wielkich i krwawych zaburzeń między bojarami, ujmującemi się za prawem posłów, i wiedzącemi zresztą o przyczynach ociągania się Zygmunta w wysłaniu do Moskwy królewicza Władysława. Łopunów, dawniej prawdziwie życzliwy Polakom bojar, poznawszy matactwa królewskie, podburza i uzbraja cały naród, tak już długo bez cara, bez praw, a tem samem bez sprawiedliwości zostający, i w krótkim czasie zbiera 80000 wojska, do którego Zarucki dołącza swoich 25000, i pospiesza do stolicy. Oprócz tego od zewnątrz zagrażającego Polakom stolicę zajmującym niebezpieczeństwa, zaburzenia między wojskiem, oraz brak potrzebnych sił, stawiały Gąsiewskiego w nader przykrem położeniu. W Kitajgrodzie z nieporozumienia zaszłego między żołnierzami polskiemi a moskiewskiemi, przyszło do krwawej bitwy. Białymur Gąsiewski musiał spalić, aby się od nawału nieprzyjaciela uwolnić. Od Moskali zamknięty, czekał tylko jakiej

*) Maskiewicz.
**) Istorya smutnawo wremienia.

na pomoc nadesłanej mu siły. I szczęściem przecie zjawił się Struś, którego z wysokiej wieży Krymgrodu zobaczono. Wojsko polskie wychodzące z Białego muru chce się z nim złączyć, ale Moskale bronią tego połączenia ogromnym sosnowym parkanem, który nareszcie podpalają. Odważny Struś widząc swej braci niebezpieczeństwo, gdyby zostali odcięci, wskakuje w palące się krzaki, i całe rycerstwo za sobą pociąga. Waleczny ten czyn ułatwił połączenie się wojska. Pożar Białego muru wygania nieprzyjaciela z miasta. Nasi pędzą za nim zwycięzko aże przez trzy dni, i tym sposobem oczyszczają dla siebie spory kawał kraju, w którym jednakże pomimo zwycięztwa czekało ich sroższe niebezpieczeństwo: bo głód. Historycy rosyjscy opisując ten pogrom Moskali, podają do 100000cznem trupa. Czego bowiem nie zniszczyły płomienie pożaru, tego dokonał mściwy miecz rozdrażnionych i zwątpiałych Polaków. Osiadłszy więc w Białym murze Gąsiewski, przemyśliwa nad zaradzeniem nieszczęściu t. j. głodowi, żywo dającemu się uczuwać w osłabionych bojem i trudami szeregach. Wysyła przeto Strusia po żywność. Temu udaje się wkrótce napotkać oddział moskiewski; rozprasza go i ze zdobytą żywnością powraca do Białego muru. Lecz po usunięciu jednego nieszczęścia nadchodzi drugie. Łopunów z Zaruckim z 10000cznem wojskiem, wypiera Gąsiewskiego z Białego muru i oblega w stolicy. Nadciąga wprawdzie Sapieha z dość licznym oddziałem wojska, ale dla dziwnych jakichś powodów nie działa odrazu wspólnie z Gąsiewskim przeciw nieprzyjacielowi. Naruszewicz przypuszcza, iż to jego zachowanie się spokojne pod murami Moskwy pochodziło z tajemnych układów z bojarami, od których spodziewał się otrzymać dla siebie koronę carską. I słusznem być może to przypuszczenie, bo skoro Sapieha poznał obłudę i zdradę moskiewską, porzucił knowane zamiary, i już odtąd łącznie z Gąsiewskim zaczyna działać. Lecz i to było już nadaremnem. Udało się Sapieże zdobyć kilka zamków, po których zajęciu znów pod mury stolicy powrócił, udało się mu zająć dość szczęśliwe stanowisko wśród moskiewskich dowódzców; ale to wszystko nie przydało się na nic, gdyż przeważające większe siły Łopunowa i Zaruckiego, tak ścieśniały jego działanie i tak obległy Moskwę, iż jedno tylko zwątpienie mogło odżyć w sercach walecznych ale osłabionych dowódzców. O Zaruckim musim tu dodać, że zapał jego z jakim polskie wojsko najeżdżał, nie pochodził z prawdziwie ku Polsce nieprzyjaznego usposobienia; owszem Zarucki zawsze był dla Polaków życzliwym; grzała go tylko myśl wprowadzenia na tron syna uwielbianej przez siebie Maryny. Pojmował ten hetman kozacki prawa syna Dymitra I do tronu moskiewskiego, i całem jego usiłowaniem było je do skutku doprowadzić. Ujrzymy wkrótce, że z Polską chciał nawet zgody, i że ta chęć stała się jego zguby przyczyną.

Zostający w wielkiem niebezpieczeństwie, chmurą wroga zamknięci wodzowie: Sapieha i Gąsiewski nie widzą żadnego dla siebie ratunku. Wtem — nadchodzi wieść, wielce ich pocieszająca, że Chodkiewicz (czemu nie Żółkiewski, ujrzymy nieco niżej) zbliża się im na odsiecz. Chodkiewicz był jednakże jeszcze o 80 mil od Moskwy. Przyjęcie tej wieści z nieumiarkowaną radością przez Polaków, zaszkodziło im wielce, bo przezorny Łopunów, poznawszy, iż skoro tą wieścią tak się cieszą, muszą pomocy bardzo potrzebować, umiał z tego zrobić użytek. Gąsiewski zaś nie mogąc w żaden sposób siłą odeprzeć Łopunowa, a lękając się wielce jego opresyi, używa podstępu, który mu wcale żadnej nie przyniósł chluby. Kłamie przed bojarami list jakoby od Łopunowa pisany. W tym liście zawierała się propozycya zgody z Polakami, w ogóle zdrada i hańba. List ten bojarowie przesyłają do obozu Łopunowa. Wiedzący o dawnej przychylności wodza swego ku Polakom Moskale, wierzą w jego zdradę i podburzeni przez Zaruckiego „w okamgnieniu roznoszą go na szablach“. Podstępem tym uwolnił się wprawdzie Gąsiewski od najsroższego wroga, splamił się jednakże czynem niegodnym wcale wodza polskiego.

(D. c. n.).

NOC NA SZCZYTACH GÓR.

(Z Lamartina).

O nocy majestatyczna! arko głęboka bez miary —
W której twój obraz o Boże, jako w jeziorze grunt, (drzymie —
Kędy gwiazd tyle w płomieniach niosąc ci swoje ofiary
Spieszą by w jasnej przestrzeni, złożyć z tych głosek (twe imie
I w nieskończoność, którą łuk ten kryśli —
Zanieść twe ręce, twój cień i twe myśli.
Witaj i ty księżycu, tak czysty, tak miły,
W tobie się jak w zwierciedle, te góry odbiły.
Ażeby te dwa światy, ten jasny, ten ciemny,
Wiodły ze swoim Stwórcą rozgowor tajemny.
I wy wiatry, co nocą w tych wyżniach klepczecie,
Które pieścicie ziemię, niebu woń niesiecie,
I wy huczne strumienie, i wy blade chmury,
Których natychmiast z tych stron znika cień ponury
Jako w przezroczu życia cnotliwego
Cień namiętności ze serca czystego.

O głębio tajemnic nocy, które sam anioł rozważa
Godzina ta także dla mnie zdziera zasłonę ołtarza;
Z tych teraz szczytów podniebnych, daleko bliżej cię (badam,
Zostaję sam na sam z tobą, i na kolana me padam.
I siadam na godach, które na swego mieszkania progu
Dla duchów swoich wybranych, dać podobało się Bogu.

Jakże wzrok na firmamencie topi się głęboko!
Błękit tak ciemny, a blask bije oko!
Zda się, że morskie to wody, gdy lekkie zefiru tchnienie
Zwierciedli falkę na falce, słoneczne łamiąc promienie.
Oto już księżyc z horyzontu schodzi,
Skryły go sosny w swych cieniów powodzi,
Zda się dla swojej ruchomej białości
Płatkiem śniegu, co upadł i skonał z żałości.

Do wiatru, któregom ja ledwie poczuł tchnienie,
Jakże ciężkie z tych sosien wzbiło się westchnienie.
Rodzi się, grozi, spuszcza, upadą — to burza!
Która z piorunem przeszła nad mą głową,
Jak żagiel, w którym wicher świszczący się nurza
Miotany po nad morzem falą coraz nową.

O nie! to noc spłoszyła duszę z wierzchołka tej sosny!
Cóż to za śpiew zarazem tęskny i żałosny?
To przyjaciela pociechy być muszą,
Który w tych słodkich jęczeniach ukryty,
Mieniąc te wiatry w mięki głos kobiety,
Z żalu nad nami płacze z naszą duszą.

O sosny! moje harmonijne drzewa
Lutnie tych lasów zielonych,
Miejsce schadzki i zgody zefirów pieszczonych—
W was wszystko płacze i śpiewa!
W tysiącznych echach natura się pieści —
Na wszystkie duszy cierpienia,
Na wszystkie do serca boleści
W waszych melodyach pociecha się mieści
Akord na wszystkie westchnienia!

Swięte drzewa! przez was Bóg ziemi się udziela,
Przyjmijcież także moje smutki i wesela.
On sam wie tylko — gdy nas zachwycacie,
Czy nad nami płaczecie — czy sobie śpiewacie?

F. N. E.

PROTEKCYA I INTRYGI,

USTĘP z ŻYCIA ZNAKOMITEGO

RZEŹBIARZA

w Polsce z wieku XV.

(Ciąg dalszy).

— Aha, zbyt słabo ozłocone ornamentyki, i zbyt ostro pozacinane ich łuki, mówił pan Antoni.

— Dobre wasze zdanie panie Antoni, odezwał się lornetujący przez rękę Sturz, łuki za ostro pozacinane.

— Nie trzeba było szczędzić farb i złota, osądził Strengel, mnie się zdaje, że dla tego ten ołtarz wydaje się za ciemny, za szary, za mdły.

— Trafnie sądzicie, zabrał głos ksiądz pleban, oczywiście, że tu za mało światła.

— Aha, zawołał głośno Sturz, ręka Matki boskiej za długa, a ta grupa apostołów za bliska głównej figury.

— Uważam, odezwał się poraz pierwszy ksiądz sekretarz, iż lepiejby może było zrobić mniejsze figurki, bo te są trochę za duże.

— W rzeczy samej, powtórzył Sturz, te są trochę za duże.

— A potem, mówił Strengel, te mniejsze grupy po bokach, niby to w związku z całością stojące, przedstawiają jakieś sceny, których doprawdy wcale zrozumieć nie mogę.

— Bo są za ciemne, odrzekł Hieronim, ręczę za to, iż o wiele zyskałby ten obraz, gdyby mu dano koloryt jaśniejszy.

— I to to strasznie nie trwałe, mówił Antoni.

— Że nie trwałe, to nie trwałe, powtórzył znowu Sturz.

— Prędko ulegnie zniszczeniu, rzekł ksiądz pleban.

— Te ornamentyki, to się wnet połamią, powiedział drugie słowo ksiądz sekretarz.

— A jakiejby to wymagało pilności, jakiego starania w kościele, zauważył Strengel.

— Ho ho! toć z tem jak z cackiem trzebaby się obchodzić.

— Drzewo widzę kruche, rzekł Sturz.

— A farba go spali, zauważył znawca malarz Antoni.

— Rzeczywiście, że szkoda tyle lat pracy. (Strengel).

— Koszt i czas stracony. (Ksiądz pleban).

— Na mało się to przyda. (Sturz).

— Dwa lata najdłużej potrwa. (Antoni).

— A talent jest. (Strengel).

— O! talent jest. (Sturz).

— Można było zrobić coś lepszego. (Hieronim).

— Z mniejszym daleko kosztem. (Strengel).

— Aniby połowy nie kosztowało, co to. (Sturz).

— I cóż też wart ten ołtarz, Waszmość Panowie, zapytał się ksiądz prałat.

Nastało znowu milczenie, każdy myślił nad summą, którą miał powiedzieć. Wit zaś, zbolały na duchu i na sercu, stał już prawie obojętny na wszystkie nieuczciwe tych znawców paplania. Z dwóch zaś źródeł płynęły nikczemne ich zdania. Namówieni przez Strengla, w imieniu pana burmistrza, którego się obawiali, i któremu łasić się było ich zwyczajem i chlubą, zręcznie unikali wszelkich pochwał, jakieby ich ocenę sparaliżować mogły — z drugiej zaś strony, nie mający żadnego poczucia piękna w swej duszy, będący najprostszemi rękodzielnikami, spekulującemi tylko w swym zawodzie, a sztukę i wszystkie jej przymioty i wymogi do marzeń liczący, nie mogli nic orzec trafnego o arcydziele, które stało nad nimi wszystkimi tak wysoko, jako Bóg stoi wysoko nad złym duchem, nie mogącym jego potęgi pojąć, i dla tego złorzeczącym jego bóstwu. Wit przeniknął tę drugą przyczynę ich bluźnierstw, jakiemi jego pracę bezcześcili. Wzdrygał się zrazu za każdem ich podłem słowem, duszę jego do głębi, niby sztyletem przeszywającem. Oburzała go ich gruba nieznajomość sztuki, niecierpliwił się, kilka razy miał już na ustach słowa zasłużonej przez nich pogardy, kilka razy zapalił się gniewem, i chciał im tłomaczyć się z błędów nikczemnie mu zarzucanych — lecz widząc ich głupotę do ostateczności doprowadzoną, wpadł także w ostateczność usposobienia, w jaką go wprawiło uczucie pogardy dla nich. I stał się zupełnie obojętnym na wszystko, bez gniewu i bez oburzenia przysłuchując się dalej wysilonym krytykom znawców, czyli w sztuce biegłych. Kiedy więc ksiądz Pleban zawezwał prześwietną delegacyą, aby orzekła nareszcie, ile ten pod rozwagę wzięty ołtarz wart pieniędzy — nastało jak powiedzieliśmy milczenie, i takowe dosyć długo trwało. Widząc więc ksiądz pleban, iż żaden niechce być pierwszym sędzią wartości pieniężnej ołtarza, rzekł w ten sens:

— Przewielebny konsystorz w swem wysokiem postanowieniu oznaczył najwyższą wartość ołtarza, mającego być za Ołtarz Wielki do kościoła Panny Maryi użytym, w ilości stu kóp szerokich groszy prazkich — gdy atoli ta wartość przyznaną by być mogla jedynie tylko takiemu dziełu, któreby ze wszech miar prawidłom sztuki odpowiedziało, lecz gdy oraz wzgląd na wyrób krajowy mając komisya ad hoc delegowana, choćby lichszy ale swojski utwór przed obcemi na przedzie stawia — przeto, podaję taki wniosek, aby ołtarz ten, przed którym oto stoimy, dziełem Wita — Stwosza, w Krakowie zamieszkałego pracownika będący, był wprawdzie przyjętym, jako przydatny kościołowi pod mojem pasterstwem zostającemu, ale żeby biegli w sztuce znawcy, jak tu są obecni, cenę jego wartości, wedle sumienia i słuszności oznaczyli. Takie jest moje zdanie, takowe

też pod rozstrzygnięcie Waszmościom w sztuce biegłym podaję. Dixi.

Po tej oracyi dał się słyszeć szmer zadowolnienia i potakiwania, wszyscy kiwali głowami a pan Johann Strengel odezwał się znowu pierwszy: Przewielebny pasterz, dbały o zbawienie owieczek swoich, i w służbie bożej gorliwy kapłan, podaje wniosek przyjęcia tego ołtarza — zapytał bym się atoli, czyli by użycie niestósownego obrazu, Najświętszą Pannę przedstawiać mającego nie krzywdą a szkodą raczej onym owieczkom było? Czy nawet najpobożniejsza dusza może się z prawdziwem nabożeństwem modlić do wizerunku, który swojem niedołęstwem w roztargnienie jej uwagę wprowadzi? Byłbym za sumiennem rozważeniem tego, i jako wierny włożonemu na mnie obowiązkowi moję uwagę tu przekładam.

Sturz wystąpił naprzód i rzekł: Słuszna uwaga pana Strengla, ołtarz ten nie do nabożeństwa, ale raczej do zabawki nastroić zdolen umysły wiernych chrześcian.

— Mojem zdaniem, rzekł pan Hieronim, ołtarz ten zanimby mógł być użytym do kościoła, musiałby być de noviter przerobiony i przemalowany, co jednak kosztowałoby niemal dwa razy tyle, ile dotąd kosztuje rzecz cała. Więc nie uznaję tego dzieła za zdatne do Panny Maryi.

— I ja tego samego jestem zdania, powtórzył pan Antoni.

W sercu Wita niecierpliwość wzrosła do ostateczności, zbliżył się do księdza plebana i rzekł: Przewielebny pasterzu! skoro widzę, iż dzieło moje waszego uznania nie jest godnem, i skoro tem samem celowi, na jaki miało być przeznaczonem, nie odpowiada, ośmielam się przeto upraszać o wyrzeczenie ostatecznego sądu, po którym nie odważę się więcej ubiegać się o przyjęcie mego utworu.

Zadziwienie powszechne bezinteresowności autora, było skutkiem tego przemówienia.

Pan Strengel przecież jeszcze wmieszał się w tę sprawę.

— Tak źle nie jest, mówił on do Wita pocieszająco, ołtarz ten może być nabytym, ale po pierwsze, później: aż go Waszmość panie Wicie przerobisz, i po drugie: za dużo mniejszą cenę od wyznaczonej przez konsystorz.

— No! dziesięć kóp, toby to może i wartało, zawnioskował pan Hieronim. (1 kopa = 1 grzyw. czys. sreb. = 80 złp).

— I tego bym nie powiedział, zauważył Sturz, biorący najwięcej za swe roboty po 25 groszy praskich, i to nie szerokich.

— Jabym ocenił 5 kóp szerokich groszy, powiedział pan Antoni.

— I ja też, rzekł ksiądz sekretarz po raz trzeci.

— Ha! to wedle większości głosu, biorąc i jednę i drugą cenę na uwagę, orzekłbym wartość jego na 8 kóp prazkich groszy.

— Zgoda! zgoda! zawołali wszyscy, myśląc że już narady ukończyli z tryumfem. Ale się pomylili, bo Wit nie mogąc już dłużej stłumić oburzenia, w jakie go wprawiły niecne gadaniny tych fałszywych znawców, odezwał się w imieniu obrażonej miłości własnej w te słowa.

— Jako właścicielowi tego ołtarza wolno i mnie podać Waszmościom cenę, od której nie odstąpię: a gdy ona wam się będzie wydawać za wysoką, wolno wam nabyć ołtarz lub nie, ale drwić z mojej pracy nikomu nie wolno, choćby też najbieglejszemu znawcy, jakiego tu między Waszmościami niemasz. Ja oceniam go na sto kóp.

— A, a, obraza! Mociumpanie, szemrano na tę odezwę, ale Wit nic niezważając na ich szemranie, zsunął zasłonę na ołtarz, zamknął i odchodząc te tylko powiedział słowa: Przewielebni pasterze, przepraszam was za ten krok mój, Bóg mi świadkiem, iż nie chcę was nim obrazić. To skończywszy księdza plebana i księdza sekretarza pocałował w rękę, reszcie skinął tylko lekkim ukłonem na znak pożegnania i szybkim krokiem pospieszył do swego mieszkania. Prześwietna zaś deputacya biegłych w sztuce, czuła się okropnie obrażoną.

— To grubianin, mówił jeden.

— Zarozumialec, mówił drugi.

— Spekulant, dodał trzeci.

Ale z wszystkich najmocniej przyjął tę obrazę do siebie pan Johann Strengel, bo tupnąwszy namiętnie nogą zawołał na cały głos za Witem: Poczekaj ptaszku, przyjdziesz ty jeszcze w moje sidła. O! wywdzięczę ja ci się za to.

Ksiądz pleban z księdzem sekretarzem, który go mitygował, wyszli pierwsi, spokojni i napozór obojętni. Sam zaś rdzeń w sztuce biegłych, wszyscy najwyżsi znawcy porozmawiawszy się coś ze sobą po cichu, postanowili niezwłocznie zdać sprawę ze swego poselstwa panu burmistrzowi, gotując się zarazem do skargi na obrazę honoru, jaką im wszystkim, oraz i samemu burmistrzowi, w imieniu bowiem jego działali, Wit-Stwosz ostatniem odezwaniem się, i zasłonięciem przed nosem ołtarza wyrządził. Strengel animował wszystkich — wyszli więc nareszcie od Wita. Na ulicy Strengel rozstał się z niemi, przyrzekając, iż natychmiast pobiegnie za niemi do burmistrza. Gdy odeszli, czmychnął w boczną, nieuczęszczaną wcale dróżynę i za chwilę zniknął im z oczów.

Tegoż wieczora, ba w godzinę po tak surowym egzaminie, burmistrz dowiedział się o wszystkiem, i czekano tylko na pana Johana, aby ostateczną zemstę i karę uradzić na Wita.

X.

Oszust.

Powróciwszy do siebie Wit, był zaraz w swojem usposobieniu, skoro spojrzał na wyobrażenie Zofii. Przypomniał sobie swoję pierwszą wizytę u burmistrza, swoję rozmowę z Zofią, i nie pamiętał już o tem, co go ugodziło w serce przed chwilą, rozmyśliwał tylko wciąż nad tem, jak znowu będzie szczęśliwym widząc się powtórnie z swoją najdroższą. Wiadomo każdemu, ile człowiek obdarzony gorętszem od innych uczuciem, w takiem usposobieniu marzy, ile wyobraża sobie. Wyobraźnia ta usłużna marzycieli przyjaciołka w takich razach używa wszystkich swych wpływów na śniący umysł młodzieńca. Cały zajęty myślami o Zofii, wiemy jak się Wit łudził, skoro wiemy i to, że Zofia wcale inaczej o nim myślała.

Gdy już z pół godziny upłynęło Witowi na takiem rozkosznem marzeniu, dały się znowu słyszeć kroki w przedsionku jego mieszkania, i wkrótce ktoś zapukał do drzwi. A gdy Wit poprosił gościa do siebie, gdy się drzwi zwolna otwarły, z wielkiem zadziwieniem ujrzał przed sobą tegoż samego Strengla, który niedawno tak zajadle przeciw niemu występował.

— Dziwicie się, i słusznie się dziwicie Mości panie, widząc mię teraz w swych progach, mówił łasząc się niecny zdrajca — lecz wnet zniknie wasze zadziwienie skoro się przekonacie, że to co mówiłem w obec delegacyi biegłych w sztuce, którycheście sami poznali, jako się nierozumieją na niczem, mówiłem tylko z po-

trzeby, i to z potrzeby tajemniczej, którą wam zaraz Mości Wicie wyjawię.

— Nierozumiem tego wszystkiego, odrzekł Wit, który zapomniał gniewu na Strengla, mając go gościem u siebie. Siadajcie i mówcie.

Strengel siadł i zaczął tajemnicze wyznanie.

— Znacie wy dobrze Jegomość pana burmistrza?

— Znam go mało.

— A jego rodzinę?

— Tem mniej.

— Lecz córkę burmistrza pannę Zofię znacie dobrze?

— Nie wiem do czego wam potrzebna ta wiadomość, lecz wyznaję wam, iż raz tylko z nią mówiłem.

— Ale tysiąc razy widzieliście ją panie Wicie, ojciec Zofii mówił mi o tem niedawno.

Wit się zadumał.

— Przebaczcie, mówił dalej Strengel, przebaczcie mi moję śmiałość wdzierania się w tajemnice waszego serca, ale to jest właśnie przyczyną mego postępowania, którem wolałem narazić się wam Waszmość Panie Wicie, byle zadość uczynić życzeniu drogiej wam wielce osoby.

— Nie wiem, doprawdy nie wiem, do czego to wszystko prowadzicie.

— Posłuchajcie jeszcze chwilę, a dowiecie się o wszystkiem, dowiecie się może i o tem, czego nie wiecie, a czegobyście pragnęli całem sercem.

Wit był miękkiego serca. Strengel wiedział o tem; umiał też godzić w niego zręcznie. Słowa jego były bardzo zręcznie odegraną rolą najczulszego przyjaciela, dbającego jedynie o los Wita. Więc na pół oszukany rzeźbiarz, dał się bałamucić i oszukiwać do reszty. Słucham, mówił z uległością do Strengla.

— Może wam i wiadomo Mości Wicie, że w domu burmistrzów jestem powiernikiem ich wszystkich tajemnic, i przyjacielem, przed którym z niczem się nie ukrywają.

Wit skłonił się Strenglowi.

— Owóż tedy wiedzieć wam potrzeba, iż zajęcie się wasze panną Zofią, nie mogło być tajnem dla rodziców tego pięknego i poczciwego dziewczęcia.

— Zkąd o tem wiedzieć mogą? zapytał się nagle Wit-Stwosz.

— Uczucia gorące i silne nigdy nie mogą ukryć się w głębi duszy. Zdradzają się one każdem słowem, z większym wypowiedzianem naciskiem, każdem spojrzeniem, jaśniejszym okraszonem ogniem. Wasza jedna wizyta w domu burmistrza, przekonała Jejmość panią burmistrzową doskonale, że nie prostym jeno szacunkiem pałacie ku jej córce. I panna Zofia poznała toż samo, i ze swej strony nie ukrywała się przed ojcem, w surowej z nim rozmowie, że was więcej ceni niż innych, niż wszystkich może młodzieńców, których dotąd miała sposobność poznać.

Te słowa przytakiwały uczuciu i marzeniu Wita, brzmiały podobnie jak pociecha Minstrela — były sercu zakochanego najpożądańszemi — nie dziw więc iż tylko radością napełniły biednego, obałamuconego Wita.

— Nie rozumiem jednakże, mówił już drżącym z uczucia głosem, w jakim to wszystko co mówicie, stoi związku z ołtarzem i delegacyą, której celem ma być wasza, tak miła mi wielce wizyta? — Strengel uczuł rozkosz zwycięzcy.

— Otóż tedy, mówił już pewny swej intrygi i swego intryganckiego talentu Strengel, chciałem wam właśnie teraz o tem powiedzieć. Już z rozmowy waszej z Zofią wyrozumieć-eście mogli, że ona ołtarz wasz widziała...

— Widziała? a to kiedy i jakim sposobem? zapytał zaintrygowany autor.

— Tego nie wiem; ależ zważajcie tylko dobrze, jak go chwaliła, jak się nad jego pięknością słusznie i sprawiedliwie unosiła. Ja wam z mojej strony, ilem rodziców i Zofię zdołał badać, to tylko powiem, iż jej najgorętszem życzeniem, życzeniem pochodzącem z prawdziwie religijnego uczucia, jest ołtarz ten własną intencyą darować kościołowi Panny Maryi.

— Ona go chce mieć?! zawołał w uniesieniu Wit, a oczy jego błyszczały ogniem miłości i poświęcenia, któremi dusza jego była przejętą w tej chwili.

— Dziwne to trochę zaprawdę życzenie, żądać po was podobnej ofiary — to też rodzice przekonywali ją długo — o, z całą sumiennością i godnością przekonywali, aby się podobnego żądania nie ważyła wam przedstawiać, i udało się im nakoniec, Zofia przysięgła iż tego nie uczyni. Lecz ja, wiedząc iż wy, drogi i zacny Wicie, chcielibyście przenikać życzenia tej, która sercu waszemu jest najdroższą, ja zdzierając teraz z twarzy swej zasłonę mego postępowania śród biegłych w sztuce, ja wyznaję wam, iż umyślnie tak lekceważące wydawałem zdania o waszym ołtarzu, aby nieznających się, jak widzieliście na sztuce w błąd wprowadzić, aby nisko ocenili wasz ołtarz, abyście tem samem wy nie zgodzili się na jego sprzedaż, i co już teraz pojmiecie, abyście mieli szczęście i rozkosz udarowania nim ślicznej, kochającej was córki burmistrza. Wit zupełnie obałamucony, nieposiadał się ze szczęścia, nie wiedział jak ma być wdzięcznym Strenglowi, za tak prawdziwą przyjacielską przysługę — milcząco więc tylko ścisnął serdecznie rękę swego mniemanego opiekuna, który tak dalej mówił:

— Łatwo bardzo udało mi się zamiar mój przyprowadzić do skutku. Największa trudność polegała na skrupule, który mi odradzał przeprowadzenie mego planu, w obawie obrażenia was, mistrza tak cudnego arcydzieła. Lecz poświęciłem chwilę waszego gniewu, będąc pewnym dłuższej daleko przyjaźni, jaka sądzę, odtąd między nami istnieje.

— I po koniec życia istnieć będzie, zawołał Wit w zapale, powstając i całując się z faryzeuszem.

— Z tamtemi nie miałem trudności żadnej. Ani jeden z nich nie ma wyobrażenia o pięknie, o sztuce. Są to prości wyrobnicy, którzy swojem rzemiosłem tak na chleb zarabiają, jak zarabia uliczny najemnik tłuczeniem kamieni na gościńcu. Sturz zawistny tobie i pięknej zazdrosny sławy, był mi najusłużniejszy do mego planu, który koniec końców udało mi się przeprowadzić, a za który pozyskałem przyjaźń tak drogą, że się nią śmiało szczycić mogę przed światem.

— Podchlebiasz mi Strenglu, ja na takie pochwały nie zasłużyłem, rzekł Wit ściskając znowu podaną sobie rękę oszusta.

— Tysiąc razy większa czeka cię jeszcze mój mistrzu, a jestem nawet tego pewnym, iż imię twoje w dalekiej potomności, z największem uwielbieniem powtarzanem będzie.

Słowa te, choć w fałszywej wymówione intencyi, sprawdziły się jednakże najzupełniej — któż dziś bez uwielbienia wymówi imie Wita-Stwosza.

— Teraz więc rozumiem one nieprzychylne wyroki na mój ołtarz obałamuconych przez ciebie sędziów.

— A może ja też źle zrobiłem, zapytał się Strengel, może to za wielka z twojej strony ofiara?

— Ofiara?! O nie — to nie ofiara, to rozkosz sercu najmilsza, pożądana, upragniona, ona mi przecież dowodzi, że ta, której może miłem być dzieło, i autora jego nieodrzuci od siebie.

— O bądź tego pewien. Sądzę, iż nie zadługo postarasz się o potwierdzenie słów moich.

— Lecz powiedz mi bracie, spytał następnie Wit Strengla, jakoż to ja mam uczynić? Nie chciałbym przecie obrazić Panny Zofii swem natręctwem.

— Dobra uwaga, odpowiedział Strengel, rzecz tę ułatwić trzeba przez Jegomość pana burmistrza. Jemu sądzę najlepiej by było dać piśmienną deklaracyą, jako ołtarz przeznaczony do kościoła Panny Maryi, dajecie w darze jejmość pannie Zofii Wyrębskiej, w oznace czci i uwielbienia jej osoby.

— Wybornie! natychmiast napiszę taką deklaracyę. I poskoczył po papier, pióro i inkaust.

Gdy zaś już trzymał w ręku pióro, chcąc onę deklaracyę napisać, zbliżył się do niego przezorny do końca Strengel, i położywszy mu rękę na ramieniu przestrzegał: żebyście jeno Wicie nie żałowali tego kiedy, uważajcie dobrze.

— Żałować?! Nigdy szczęśliwszym nie będę!

Po tych słowach z szybkością niewypowiedzianą napisał akt darowizny na rzecz Jejmość panny Zofii Wyrębskiej.

Strengel schował prędko pismo Wita; ten zaś chcąc okazać całkowite zaufanie swemu przyjacielowi, poprowadził go przed zasłoniętą rzeźbę i mówiąc: Oto wszystko, co mam teraz w mem sercu, odsłonił mu głowę ślicznej Zosi.

— Jakież podobieństwo! jakaż prawda! krzyczał zdziwiony naprawdę znawca, którego mogła zadziwiać taka rzeźba, nie sztukę podziwiał w niej bowiem, lecz najdokładniejsze podobieństwo.

— Ale o tem nie spomnisz nikomu! mówił doń Wit z zaufaniem.

— Masz moje słowo uczciwości, zaręczył oszust i podał Witowi rękę na pożegnanie. Teraz cię zasię pożegnać już muszę, wasze obowiązki nakazują mi skrócić te przyjemne chwile, jakie tu wraz z tobą przepędzam.

— Bywaj zdrów, a pamiętaj odwiedzić mię wkrótce w mej pracowni.

— Nie będę zaniedbywał takiego szczęścia. Z Bogiem mój Wicie.

— Z Bogiem mój bracie, pożegnał go uprzejmy gospodarz. Strengiel wyleciał. Wit został sam — znowu sam ze swemi myślami.

Na Strengla czekało zgromadzenie u pana burmistrza. Tam też odrazu niecny intrygant pospieszył, i zaledwie tylko wszedł do komnaty, poprosił pana Wyrębskiego na stronę. Wiemy i odgadujemy co z nim mówił, skutek zaś jego był taki, że pan burmistrz zwróciwszy się do towarzystwa, w tę się doń odezwał słowa: Zacni obywatele! Z Witem sprawę odłożyć musim na kiedyindziej, ważniejsze tu oto są rzeczy naszej uwagi wymagające. Oto król nasz, najmiłościwiej nam panujący ciągle słaby — a słabość jego wzmaga się coraz bardziej — trzeba nam tedy jutro wyprawić deputacyę do jaśnie oświeconego księcia kardynała, a miłoś.iwego nam gubernatora, z prośbą o odprawienie nabożeństwa w katedrze na intencyą wyzdrowienia króla jegomości.

— Słusznie, bardzo słusznie, powtórzyli wszyscy i rozmowa przeszła na przedmiot poważniejszy, o Wicie zapomniano. Strengiel dokazał wszystkiego, co tylko sobie zamierzył. Wielkim to talentem obdarzony oszust.

Niedługo też rozeszli się wszyscy, i tylko Strengel pozostał u burmistrza na poufną z nim rozmowę. Jedna nie wypróżniona jeszcze, a druga pełna butelka wina okraszać miały ich i tak piękną poufałość.

— Może pozwolisz lampeczkę, mówił nalewając mu kielich winem.

— Owszem, jestem trochę zmęczony, odrzekł Johann i duszkiem spełnił do dna.

— No to ci dobrze poszło, zagaił tę poufną pogadankę burmistrz.

— Wybornie. Trzeba tylko ułożyć dalszy plan bitwy' mówił nalewając sobie nową dozę.

— No i jakże?

— Bardzo prosty jest plan. Konsystorz wyznaczył 100 kóp szerokich groszy prazkich za ołtarz. Drugi kielich był już próżny.

— Sto kóp!

— A sto. Trzeba aby go teraz znawcy drugi raz cenili, i przyznali że cenie tej zupełnie odpowiada.

— Wprost przeciwnie temu będą mówili, co już orzekli?

— Nic nie szkodzi! Ich zgody zdrowie! zawołał trzeci wypijając kubek.

— Nie zechcą.

— Już ja jestem w tem.

— Zrób więc.

— Dam każdemu po kopie, i na wszystko przystaną. Trzeba ich tylko przekupić.

— Kogóż?

— Sturza i obydwóch Kulnerów. Jeszcze raz ich zdrowie, i wypił czwarty.

— A ksiądz pleban, a ksiądz sekretarz? pytał się burmistrz odbierający spełniane zdrowie za pomyślność swych kopek.

— O tych nie ma turbacyi, zrobią wszystko, co się im podszepnie.

— No i cóż potem?

— Potem konsystorzowi na rzecz naprawy kościoła na zamku odstąpimy 10 kóp, a 90 gotóweczki weźmiemy do podziału.

— A cóż się stanie z moją córką?

— Nim jeszcze pieniądze nie wpłyną do naszych kieszeń, córka twoja, a moja przyszła żona, bez uszczerbku niczyjego honoru, może być sobie narzeczoną JMCi pana Wita.

Ale czyż przystanie na to?

— A od czegoż wasz nakaz; wszak go niezwać nikomu tyrańskim, skoro wiadomo, na jak długo rozciągać ma swoją władzę.

— Wszak wiesz przecie, że ją bardzo kocham, nie zniósłbym jej boleści.

— A może też ta chwila ułudy nie będzie dla niej boleścią.

— Co myślisz?

— Myślę, iż może by się i Zofia zgodziła na ten związek.

— Moja córka miałaby wchodzić w związek małżeński z wyrobnikiem?

— Ale któż o tem mówi, wszak wiem żebyś na to nigdy nie zezwolił, a zresztą i jabym także wtrącił w tę sprawę swe trzy grosze.

— Zawsze to rzecz nie bardzo bezpieczna.

— Nie lękaj się o nic, już ja wszystkiemu zapobiegnę; pamiętaj jeno o naszych 90 kopkach.

— Piękna to rzecz, wprawdzie jest o czem pamiętać, ale jako ojciec muszę wprzód pamiętać o mojem dziecku.

— No, to rób jak chcesz, już zapóźno się cofnąć.

— Ha! niech się dzieje wola Boga.

— Amen! Za pomyślność sprawy! I spełnili obaj. Butelki obie już były próżne. Do widzenia. Godzina już późna. Pospieszę do domu, w którym nie byłem od rana.

Burmistrz odprowadził Strengla do drzwi: skoro zaś ten się już oddalił, powróciwszy do siebie i załamawszy ręce zawołał: Czasem za wiele człowiek robi dla tych pieniędzy!

Są więc chwile, w których sumienie przebudza się i

w zbrodniarzu, lecz w pokusie która tych zbrodniarzy stwarza nie przebudza się ono nigdy.

XI.

Jeszcze minstrel u Wita.

Nazajutrz w zwykłym stroju minstrela zjawił się znowu Fryderyk w mieszkaniu Wita, ciągle zachowując przed nim swoje incognito. Nie mogąc przed szczerym przyjacielem, za jakiego Wit uważał swego śpiewaka, nic ukryć w tajemnicy, opowiedział mu całe wczorajsze poselstwo biegłych w sztuce, ich znawstwo i wytknięcia błędów w ołtarzu, z czego się minstrel nietylko wcale niezgorszył, ale owszem naśmiał się do woli. Lecz, gdy mu opowiedział także wizytę wieczorną Strengla, oburzył się nią tak dalece, że powstawszy szybko z krzesła zawołał: Ten łotr popamięta moję zemstę.

— Ależ drogi minstrelu, łagodząc gniew jego mówił Wit, on wyświadczył mi największe dobrodziejstwo, jam mu wdzięczność dłużen mój bracie. Za cóż się ty mścić nad nim będziesz?

— To oszust. On cię okłamał we wszystkiem, dziwi mię bardzo, żeś nie mógł odrazu przeniknąć jego zdrady.

— Więc nie wierzysz jego zeznaniu co do Zofii?

— Dla czegóżby nie. To co innego. I właśnie dla tego że wierzę w jej miłość ku tobie, nie mogę wierzyć w to, iżby sama zapragnęła od ciebie tak kosztownego daru. To jest niecna spekulacya jej ojca i tego fałszywego diabła, którego już nieraz miałem sposobność poznać dobrze.

— Cóż więc mam robić? zapytał się zasmucony Wit.

— Ha! nieszczęście tak zrządza, że na parę tygodni muszę znów Kraków opuścić — byłbym ci usłużył w tej sprawie. Lecz nie mogąc, podam ci przynajmniej radę.

— No jakąż?

— Idź jeszcze parę razy do Wyrębskich, przekonaj się dobrze o sercu Zofii, a potem oświadcz się o jej rękę.

— A jak mię odrzuci?

— Nie lękaj się tego. Jestem pewien, że ona ciebie kocha.

— Lecz może rodzice na związek z nią nie zezwolą.

— Słyszałem że swą jedynaczkę kochają, a więc jej woli sprzeciwiać się nie będą.

— Ha! zrobię jak mówisz.

— Ba! lecz wprzódy musisz dowiedzieć się od niej, czy to w rzeczy samej ona zażądała twego ołtarza.

— Trudno mi będzie zadać jej takie pytanie.

— Zadaj je przy sposobności.

— I to spróbuję uczynić.

— A gdy będziesz wiedział pewność, czekaj parę dni na mnie, jak powrócę dopomogę ci niezawodnie do reszty.

— Usłucham cię we wszystkiem, bo czuję iż twoje rady prawdziwie z serca pochodzą.

— Wierz mi, iż pragnę twego szczęścia. Lecz teraz przebacz mi najdroższy Wicie, iż cię może pomimowolnie obrażę. Oto dostałem kosz wybornego starego wina, które ci z całego serca ofiaruję. Wiesz iż odjeżdżam, wziąść go ze sobą nie mogę. Tobie się może przyda. Przyjmij je a nie obrażaj się na twego przyjaciela.

Wit stał milczący. Nie obraził się jednak bynajmniej, bo zanadto ścisłą była między niemi przyjaźń, aby taka szczerość jednego, drugiego obrazić mogła.

Minstrel wybiegł do sieni i wniósł zostawiony tamże koszyk z winem. Oto masz, mówił stawiając je przed Witem.

— Dziękuję ci, przyjmuję jako dar przyjacielski.

— To mi się podoba! Widzę, żeś szczery, i dla tego pojmujesz szczerość moją.

— Ale może spróbujemy go ze sobą? zawnioskował obdarowany.

— Jak ochota! odrzekł minstrel, rad, że Wit uprzedził go w projekcie, cały bowiem ten uczynek był tylko wybiegiem kardynała, który lubił wypić dobrego wina parę butelek, i wedle Marcina Bielskiego *„miał swe, co z nimi zawartszy się pijał.“*

Wit podał puhar miedziany z ozdobami własnej roboty, i nalawszy weń do pełna, wychylił go duszkiem w ręce minstrela.

Nie pijano wtedy z więcej kielichów, jeno z jednego, choćby 10 było wraz, i dla tego też przysłowie powiada, że kto nie wypije, temu wleją za kołnierz, aby stojący za koleją z pełnego mógł także wychylić.

Minstrel z radością porwał za puhar i spełnił go bez wytchnienia.

Rozumie się, iż się nie skończyło na jednym; powtórzono z pełna i raz i drugi raz, i podochocony minstrel śpiewał wesołe piosenki o kochaniu, o winie i o różnych innych rzeczach. Wnoszono potem różne zdrowia, więc króla, więc Polonii, więc dobrych czasów, więc Zosi nareszcie. A kiedy minstrel przypomniał sobie o swojem rozstaniu się znowu na jakiś czas z Witem, wzięto się do pożegnania; więc pito zdrowie przyjaźni, pomyślności podróży i prędkiego a szczęśliwego zobaczenia się ze sobą.

Minstrel przebrał miarkę i po Wicie znać było nie zwykłe usposobienie.

— Więc pamiętaj kochany bracie, mówił odurzony winem cokolwiek minstrel, pamiętaj przed mym powrotem porobić stósowne kroki: gdy wrócę dokończę wszystkiego.

— Minstrelu, Fryderyku! kochany mój przyjacielu, powiedz mi przecie choć raz, dokąd wydalasz się tak często z Krakowa, i czemu ten twój odjazd pokrywasz tajemnicą. Przyjacielowi godzi się ją przecie odsłonić.

— Nie pytaj mię dziś jeszcze o to, drogi mój Wicie! Pytanie bowiem twoje bolesnem uczuciem napełnia moje serce. Gdy wrócę tym razem do ciebie, dowiesz się o wszystkiem. Lecz teraz poprzestań na tem zapewnieniu.

— Więc szczęśliwej ci drogi i szczęśliwego powrotu!

— Niechaj cię tu Bóg ma w swojej opiece, mój Wicie.

Uściskali się serdecznie — za chwilę Fryderyk pożegnał swego przyjaciela, który jeszcze tego samego wieczora postanowił usłuchać rady minstrela, i ułożył sobie plan przyszłego postępowania z burmistrzem i jego śliczną córką. *(C. d. n).*

WYPRAWA
po guwernera i guwernantkę,

w 6ciu scenach
(podsłuchane).

(Dokończenie).

Scena Vta.

Spotkanie w ogrodzie botanicznym.

Pani Sewerynowa *(z dziećmi)*, i Hrabia Adam *(z córką później)* P. Adamowa *(żona hr. Adama)*.

Hr. Adam *(prowadząc za rękę dziewięcioletnią dziewczynkę—kłania się P. Sewerynowej)*. Zdaje mi się że się niemylę, wszak pani Sewerynowa, dobra niegdyś znajoma?

P. Sewerynowa. Pan Adam! doprawdy niepoznałabym, tak się hrabia odmieniłeś.

Hr. Adam. Bo też to już lat piętnaście jakeśmy się z sobą nie widzieli, jakeśmy z sobą nietańczyli, czego myślę już oboje zapomnieliśmy. Ale spoczniejmy na tej oto ławeczce, miło mi będzie pogawędzić z panią. Ciekawy też jestem o ile nabrawszy z wiekiem rozsądku zgadzać się będziemy w wyobrażeniach, może też i my dzisiaj na ten świat inaczej zapatrywać się będziemy.

P. Sewerynowa *(siadając)*. Co do mnie, to tylko powierzchowność uległa zapewne jakowej zmianie, zresztą jestem tą samą, jaką byłam przed laty dwudziestu.

Hr. Adam. Gdyby to było prawdą, wcalebyś mnie pani tem nie pocieszyła wyznaniem. Ja niepodobny jestem do siebie jak niebo do ziemi, na drugi dzień po ślubie

zupełnie innym stałem się człowiekiem. Uważając dawniej miłość za rodzaj fiksacyi, sam szalenie moją ukochałem żonę i do dziś dnia ją kocham, wreszcie za granicę pieniędzy nie wywożę, gospodarstwa o ile możności sam osobiście doglądam, jestem nawet czynnym członkiem Towarzystwa Rolniczego, i żeby nie konieczność znajdywania się na sesyi, niebyłbym nawiedził starego naszego grodu. Jeżli przytem chcesz pani wiedzieć coś o mojej żonie, to powiem: że jestem z nią najszczęśliwszym, żyjemy jak Bóg przykazał, za szacunek i miłość jaką mam dla niej, ona wywzajemnia mi się miłością żony i matki.

P. Sewerynowa. Powinszować hrabiemu.

Hr. Adam. Ja myślę, że każdy szczęścia zazdrościć mi powinien, i nie wątpię, że mi to pani przyznasz bliżej żonę moją poznawszy; tymczasem przypatrz się pani, Marynia to żywy jej portret, jeżli mi ją Pan Bóg uchowa, będzie moją pociechą i wielką łaską Stwórcy. (*do córki*). Idźże Maryniu do twojej rówienniczki i zabaw się z nią, może zadeklamujesz jej co z Pana Tadeusza, a chłopczykowi opowiesz co o mogile Krakusa, którą ztąd widać.

Marynia (*z żalem*). Kiedy proszę ojca niechcą ze mną rozmawiać, takie niegrzeczne!

P. Sewerynowa (*zawstydzona*). Przyznam się panu hrabiemu, że dzieci moje nie rozumieją po polsku, od maleńka wychowywała je bona Szwajcarka.

Hr. Adam. Kiedy tak, to żal mi nietylko jej dzieciaków, ale i samej pani.

P. Sewerynowa (*zakłopotana*). Jestem w trakcie przyjęcia polskich nauczycieli, właśnie po to tu przybyłam.

Hr. Adam. Chociaż zapóźno, zawsze lepiej niźli nigdy — ja z własnego korzystając doświadczenia, niepierwej każę uczyć obcej mowy moją Marynię, aż rodzinną doskonale zawładnie. Że nam Bóg udzielił łatwości władania każdym innym językiem, i jej z daru tego wyzuwać nie będę, czy jej się to na co przyda lub nie, ale za grzech bym sobie poczytywał, gdybym jej nienauczył pierw własnej. Dzieci pani mówiąc kiedyś po polsku zawsze już pierwej po francusku myśleć będą — a to przecież zgroza!

P. Sewerynowa (*pomięszana*). Świat ma tak różnorodne wymagania że sam przyznasz mi panie Adamie, niewiedzieć komu i jak dogodzić.

Hr. Adam. Najpierw dogadzajmy Panu Bogu, dopiero później ludzkim względom. Wychowując dzieci, przedewszystkiem kształćmy ich serca, nauczmy kochać Boga, kraj i bliźniego, abyśmy z czystem sumieniem stanąć mogli przed sądem Bożym.

P. Sewerynowa. Doprawdy niepoznałabym cię panie Adamie, gdybym niewidząc cię słuchała

Hr. Adam. Bo też minął czas głupoty powszechnej, była też i pora abym się zastanowił sam nad sobą; jeżli stojąc nad grobem jeszczebyśmy się niepoprawili i nie skruszyli, to potem kiedyś, byłoby myślę zapóźno. — Ale oto moja nadchodzi żona. Raczcie panie zapoznać się z sobą — ja muszę już spieszyć się na posiedzenie rolnicze — do widzenia (*odchodzi*).

P. Sewerynowa (*do pani Adamowej*) Bardzo mi jest przyjemnie.

P. Adamowa. Cieszę się mocno.

P. Sewerynowa. Mąż pani uważałam, wiele miał przyjemności mówiąc o niej.

P. Adamowa. Gdzie serce tam miłość i przywiązanie, gdzie miłość tam zgoda i wzajemny szacunek, a gdzie zgoda jest i szczęście. W przeciągu dziesięciu lat naszego pożycia, ani jeden niespotkał mnie wyrzut. Posłuszeństwo małżeńskie zaprzysiężone mu w obec Boga, nigdy nie było mi przykrem, wszelkie troski, od których na tym świecie nikt wolen nie jest, rozdzielamy przez miłość w dwa serca, a wtenczas i boleść zaraz mniejszą bywa, kiedy wszelką radość wspólnie podzielając, daleko więcej uczuwamy szczęścia niżeli nawet jest go w rzeczywistości. Dla tego też choćby mąż mój miał jakoweś ułomności, przez miłość dla niego wszystko najniezawodniej bym mu przebaczyła, bo byłabym przekonana, że każda chwila przebaczenia, mogłaby go tylko zobowiązać dla mnie, a tem samem już i przykrość mi wyrządzona stokrotnie wynadgrodzoną by była.

P. Sewerynowa. Pani jemu i sobie raj na tej stwarzasz ziemi.

P. Adamowa. Tak jak inni samochcąc piekło sobie stwarzają, a takiemi często bywają kobiety wyłamujące się z pod praw Boskich, jakby Stwórca mógł się w czemkolwiek pomylić i nieprzewidział potrzeb ludzkości nadając jej pewne prawa.

P. Sewerynowa. Tak, to być może. Ale powiedz mi pani kim jest ten młody człowiek kłaniający się jej teraz, zdaje się że ma pomięszanie zmysłów.

P. Adamowa. Tak jest, cierpi melancholią. Ojciec jego zacny bardzo obywatel odumarł go zawcześnie, matka jego, kobieta przesadna i mająca pretensye, Bóg niewiedzieć do czego, źle go za młodu poprowadziła, umiał tylko paplać po francusku, a zresztą nic więcej. Po śmierci też matki wyjechał za granicę i tam stracił majątek daremnie bogatej szukając partyi; wrócił więc do kraju żebrakiem, co wszystko było powodem obłąkania; wczoraj dopiero wypuszczono go od waryatów. Biedny człowiek, niech tam matce Bóg przebaczy!

P. Sewerynowa. (*przyciskając ze strachem Juliusza*). Tak, to nieszczęście.

P. Adamowa. On nawet najniewinniej cierpi, ale nie sądźmy, nie będziem sądzeni.

P. Sewerynowa. Żegnam panią, mąż mój czeka mnie zapewne, muszę się pospieszyć.

P. Adamowa. Proszę się kłaniać odemnie.

P. Sewerynowa (*odchodząc*). Ślicznie dziękuję — do zobaczenia.

Scena VI.

(*Przed hotelem stoi wypakowany powóz, w nim P. Sewerynowa z dziećmi, nauczyciel Polak, guwernantka Krakowianka, przed powozem hr. Adam i Gustaw.*)

Gustaw (*do Dyonizego z cicha*). Wygraliśmy.

P. Dyonizy. To ósmy cud świata.

Gustaw: O ile się domyślam, to hrabstwo Adamowie stanowczo na twoją wpłynęli magnifikę.

P. Dyonizy. Ktokolwiekbądź, niech mu Bóg wynadgrodzi.

Hr. Adam (*wołając za odjeżdżającym powozem*). A niezapomniała też tam pani nowego numeru *Niewiasty?*

P. Sewerynowa (*wychylając się z powozu*). Mam, mam wszystkie — żegnam, żegnam! a proszę o nas pamiętać, mój mąż bardzo sobie życzy mieć p. hrabiego u siebie.

Gustaw (*do hrabiego*). Wielce jestem obowiązanym panu hrabiemu.

Hr. Adam. Mnie, a to za co?

Gustaw. Za przysługę jaką mi pan hrabia nawet pomimo wiedzy uczyniłeś.

Hr. Adam. Ja przysługę? doprawdy że niewiem.

Gustaw. Nieinaczej panie hrabio, Dyonizy jest moim przyjacielem, przysługa jemu wyrządzona jest i mnie przysługą, a teraz może mu Pan Bóg dozwoli cieszyć się szczęściem małżeńskiego pożycia. Może Duch śty wstąpi z czasem w panią Sewerynową, kiedy cokolwiek już się skruszyła, a może i dzieci wyrosną jeszcze na pociechę Bogu, krajowi i rodzinie.

Hr. Adam. O to więc chodziło! Teraz dorozumiewam się wszystkiego — ale czemże ja się tak dalece przysłużyłem?

Gustaw. Chwalebnym przykładem panie hrabio, czego ja byłbym niedokazał, choćbym wymowniejszym był od Cycerona, a nawet bardziej przekonywującym od Skargi. Ludzie, którym się w głowie przewróciło, niezwykli zapatrywać się na braci niższych od siebie stanowiskiem, niezwykli przyjmować choćby rad najzbawienniejszych, jeżeli te nie będą podawane im od tych, których przynajmniej za równych sobie poczytują. Małpiarstwo wielką jest naszą wadą, jedynem na nie lekarstwem jest dobry przykład podawany z góry, i dziś kiedy niemożecie panowie czem innem przysługiwać się krajowi — kiedy niemożecie dziedziczyć buławy Zamojskich, Chodkiewiczów i tylu innych nieśmiertelnych naszych hetmanów — kiedy wolne wam jedynie dziedzictwo ich cnót obywatelskich, kiedy tego nikt wzbronić wam niemoże — przewodnictwo więc w dobrem wielką być może waszą zasługą, jak zgorszenie braci waszych największą zbrodnią.

Hr. Adam. Nic przeciwko temu panie Gustawie, myślę nawet, że już jesteśmy na tej drodze, a jeżli znajdują się jeszcze między nami wyrodni, to i ci spodziewam się, skruszą się niezadługo.

Gustaw. Tak daj nam Panie Boże!

Wiadomość literacka.

D. 1go czerwca pojawił się nareszcie po długich, a zapewne nie bardzo rozkosznych wakacyach, *Przegląd Powszechny* we Lwowie, wynagradzając prenumeratorom swoim czas swego milczenia summaryuszem spraw i wypadków tak we Włoszech, jako też w Węgrzech i w Kongresówce. Kronika tego numeru zaleca się wielkim humorem, i niezawodnie trafi do serc czytelników, zaszczycających licznie swoją sympatyą to bardzo praktyczne i energiczne pismo. Biografia Telekiego umieszczona w fejletonie zajmie zapewne wszystkich, którzy uczuli stratę tego znakomitego męża stanu.

Korespondencya od Redakcyi.

Wnej Korl. w Czerwonogrodzie: Posłaliśmy wszystkie żądane numera i mody. Na poczcie tutejszej już sprawdzaliśmy, prosimy jeszcze w miejscowej się zapytać.

— P. N... w Brodach. Odebraliśmy pieniądze jako półroczną prenumeratę, lecz niewiemy pańskiego nazwiska. któregoś Pan umieścić w liście zapomniał.

— Wnej Florze Karp ..... Nadesłane wiersze nie dadzą się w naszym dzienniku umieścić.

Do tego numeru dołączamy mody za miesiąc maj — a opis ich umieścimy w przyszłym numerze.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. Antoni Rother.